

zamysłowy mocno, a z całej jego postawy wywnioskowałam, że jest czemś mocno skłopotany. Gdy mnie zobaczył, podniósł się, wyciągnął ręce, jakby mnie chciał uściśnąć i zawołał:

— Cóż to? waćpanna gniewasz się na mnie? godzi się to na starego dziadka dąsać? Chodźże Julis i uściśnij mnie. Widzisz, skłopotany jestem ciężko, a kiedy mam zmartwienie, tom zły. No! no! nie gniewaj się, siadźno tu przy mnie, pogadamy, ileż jesteś mi potrzebna w pewnej ważnej sprawie.

Mówiąc to, objął mnie i całował i przyciskał do piersi, co mnie tak ujęło, że wszystkie moje zamiary dąsania się na staruszką odrazu zniknęły. Siadłam tedy obok niego, zapewniłam go, że się wcale nie gniewam, tylko przykro mi było, że zlał starą Gruszkę, która nic nie była winna.

— No! no! — rzekł dziadus — z Gruszką już się pogodzili i jesteście w najlepszej komitywie. Cieszę się też, że i ty na mnie się nie gniewasz. A teraz pogadajmy.

— Słucham dziadunia.

Zasiadł wygodnie w fotelu, wziął fajkę do ręki, a widząc, że mu zgasiła, zapaliłam u ognia fidybus, których zawsze kilka na ten cel było przygotowanych i podałam memu kochanemu opiekunowi, z czego był bardzo rad i dziękował mi gorąco, mówiąc, że to dobra dziewczyna. Wreszcie przystąpił do owej sprawy, dla której mu byłam potrzebna, w tych słowach:

— Jakże ci się Julis podobał ten mnich, który tu wczoraj w nocy spadł do nas razem z zawieją śnieżną?

Pytanie to przeraziło mnie mocno, bo zdawało mi się, że dziadus odgadł, iż pod postacią mnicha ukrywa się kto inny i czułam, że się zarumieniła mocno. Ale na szczęście mrok w pokoju panował i mego rumieńca zapewne widać nie było, a przytem dziadunio był zanadto zajęty swymi myślami, by mógł zwracać uwagę na to, co się ze mną dzieje. Po chwilo wem jednak wzruszeniu szybko przyszedł do siebie i odpowiedziałam obojętnie:

— Miał go widziałam, gdyż prawie zaraz po jego przybyciu, poszedł do siebie na górę. Wydawał mi się tylko bardzo źle wychowanym.

— A widzisz, i tyś to zauważyła! Otóż to, i muszę ci powiedzieć, że on zaraz we mnie wzbudził podejrzenie. Bo najprzód ojcowie Benedyktyni nie noszą ani wąsów, ani brody, bo im reguła tego zakazuje, a ów Gwido miał zarost jak żyd jaki. A potem znam ja wszystkich braci i księży w klasztorze Świętokrzyskim, boć przecie to moi sąsiedzi, a ja też jestem syndykiem klasztornym, a o żadnym braciszku Gwidonie nigdy nie słyszałam. Przytem jakże on się tu zachowywał? pił mosanie jak gąbka, prawil o jakichś swoich majątnościach gdzieś tam za Krakowem, gadał, że jak mu przyjdzie fantazja to habit zrzuci i znowu szablę przypasze, pytał się, czy w moim domu są jakieś gładkie niewiasty, a dokąd i pocić nie chciał mi powiedzieć. Ki djabel, myślę sobie. Przyjechał koźmi klasztornymi z jakimś nieznany woźnicą, boć przecie ja i moi ludzie znam służbę klasztorną, słowem arcy podejrzanym indywiduum. — Zgniewał mnie, srodze owem dopytywaniem się o ciebie, bo cię widno zauważył, więc pożegnałem się z nim, kazałem go odprowadzić na pół pijanego do baszty, postanawiając sobie, że nazajutrz pojedę do klasztoru do księdza opata, a mego wielkiego przyjaciela, opowiem mu wszystko i przepytam się o onego braciszka Gwidona.

W całym tem opowiadaniu dziadunia, uderzyła mnie jedna rzecz, że mnich Gwido dopytywał się o mnie. Serce mi zabiło silnie, bo byłoby to niejako dowodem, że pod maską mnicha ukrywał się ktoś inny, dla którego wiadomość o mnie była drogą. Ale stłumiłam to przypuszczenie, a dziadunio mówił dalej:

— Tedy dziś rano przyjechałem do Szupli, bo tam jest pałac opacki, a tu mi służba powiada, że ksiądz opat jest w klasztorze, bo się tam coś stało. Zaraz też przyszło mi na myśl, ażali ten jakiś wypadek, który kazał księdzu opatowi tak wcześniej udać się do klasztoru, czego nigdy nie czyni,

chyba w wielkie uroczystości, nie jest w związku z Gwidonem. Nie zwlekając więc, co żywo ruszyłem pod górę do klasztoru. Przyjeżdżam, widzę mosanie miny zafrasowane, a braciszek Benedykt, powiada mi, że ksiądz opat z księdzem profosem Justusem siedzą od kilku godzin zamknięci w bibliotece klasztornej i zakazali kogokolwiek do siebie wpuszczać. Pytam, co tu słychać w klasztorze, ale zaraz sobie przypominam, że bez pozwolenia księdza opata, a co najmniej przeora, nie wolno nic mówić o sprawach klasztornych, zwłaszcza, człowiekowi świeckiemu, według starej maksymy: „żeby cię pieczono i smażono w smole, nie powiadać co się dzieje... w klasztorze“. Więc zamilkłem, prosiłem tylko braciszka Benedykta, aby mnie zameldował księdzu opatowi i powiedział mu, że mam ważny i pilny do niego interes. Wzdragał się braciszek, zastanawiając się przykazem księdza opata, ale przecie dał sobie wytłumaczyć, że to jest ważna sprawa, że gdyby opat nie dowiedział się o niej zaraz, to srodze gniewałby się na brata Benedykta, a klasztor ciężki szwank mógłby ponieść.



Przyszedł Kociuba z doniesieniem, że Walczak przybył.

Tu znowu dziaduniowi zgasiła fajka, a ja spostrzegłszy to zapaliłam fidybus, co zostało przyjętem z wielką wdzięcznością i nazwaniem mnie „najśłodsza Julisia“, choć to wyrażenie „Julisia“ bardzo mi się nie podobało, bo jakoś brzydko brzmiało. Dziadunio, wypuściwszy z zapalanej fajki całe kłęby dymu, tak dalej opowiadał:

— Pokuśtygał tedy, mosanie, ojciec Benedykt na górę, bo stary jest i reumatyzm ma w nogach i niebawem wrócił, gadając: „Ksiądz opat prosi jaśnie wielmożnego pana“. Ruszam więc, wchodzę do biblioteki i widzę opata i księdza Justusa strasznie zmieszanych, stojących nad dużą skrzynią żelazną, dokoła której leży rozrzuconych na stole kilkanaście sztuk złotych portugatów, pierścionków, i innych klejnotów.

Tu przerwałam dziaduniowi, dopytując się, co to są portugaty i dowiedziałam się, że są to pieniądze złote portugalskie, bite bardzo dawno i dziś już w kursie nie będące, ale z powodu wybornego złota mające dużą, kilkudukatową wartość i nader poszukiwane. Po tem wyjaśnieniu dziadus mówił:

— Srodze byłem zdziwiony tym widokiem, ile, że prócz tego w bibliotece okrutny panował nieład. Jedna z szaf z księgami była odsunięta na bok, a za

nią widac było drzwi potrząskane i wylamane, jakąś dziurę ciemną, a dokoła pełno gruzów, strzępów i połupanych kawałków drzema. Stałem, patrząc na to i nie mogąc pojąć co to znaczy, a ksiądz opat rzeknie do mnie:

— O, panie podkomorzy, jak to dobrze, żeś waszmość przyjechał, patrz co się tu dzieje.

— Cóż to takiego? — pytam.

— Niestety, kara Boża za nasze grzechy. Okradziono skarbiec klasztorny!

— Skarbiec klasztorny? — zawołałem osłupiały, bom nigdy nie słyszał, żeby klasztor posiadał jakie skarby, a zakonnicy zawsze narzekali na biedę — skarbiec klasztorny! — powtórzyłem — ale któż to uczynił? — Na moje pytanie, ksiądz opat zmęczony i zaalterowany mocno, przysiadł sobie na krześle i głosem rozpaczliwym rzekł:

— Różne pogany dawnymi czasy napadały na klasztor. Tatarzy, Litwini, Husyci, różne hereetyckie nacye, Szwedy, Węgrzy, Sasy, a żaden z nich onego skarba, ostatniej ucieczki w niedoli klasztornej nie zabrał, aż dopiero na wstyd i hańbę naszą, własny człek, Polak i katolik to uczynił. Kara Boża! kara Boża!

— Ale mówno księże opacie, kto to uczynił?

Tu ksiądz opat wydobyl z za rękawa habitu kraciastą chustkę, otarł nią spoczone czoło, choć w bibliotece psie było zimno, i opuszczając w omdleniu ręce, rzekł: Radź panie podkomorzy, radź co uczynić. Jesteś waszmość syndykiem naszego klasztoru, naszym, że tak rzekę, opiekunem, radź tedy, daj pomoc, bo ja już tracę głowę i jeszcze, czego Boże broń, rozchoruję się z wielkiej aprehensyi.

— Dobrze — rzeknę ja na to — chętnie poradzę i dopomogę, bo choćbym nawet nie był waszym syndykiem, mości księże opacie, to jako katolik i szlachcic, obowiązany jestem w tak niecnotliwym momencie podać wam rękę. Wszelako chcąc wam poradzić i dopomódz, muszę wiedzieć co się stało. Zaczniemy od początku. Mielicie skarb, gdzież był ten skarb?

— A tutaj w tej dziurze.

— Skradziono go, któż go skradł?

— Gwido, któżby jak nie Gwido! — zawołał opat.

W tem miejscu długiej i dramatycznej opowieści dziadunia, uczułam taki ból serca, jakby mi kto puginał w niego wepchnął.

— Dziadunio — zawołałam — to być nie może!

— A dlaczego być nie może? — odrzekł dziadunio — ja, jak to waćpannie powiedział, zaraz miałem w podejrzeniu tego niby mnicha z brodą żydowską i dlatego to dziś rano pojechałem do klasztoru, żeby zasięgnąć języka i, jak asindzka widzisz, pięknych historii się dowiedziałem. Ksiądz opat Niegolewski tak srodze tym wypadkiem był zgryziony, że siedział na krześle napół omdlały i gadać nie mógł, tak, że musiał wziąć na indugację księdza profosa Justusa. Ale jest to staruszek i pono nigdy nie odznaczał się dobrą głową, i nie mało mi trudu i zachodu kosztowało, nim powoli z obu tych zakonników wydobylem historję tej kradzieży osobliwszej i hańbę, a wstyd przynoszącą klasztorowi. Skoro już dowiedziałem się wszystkiego, jak i co było, ksiądz opat mnie pyta, co z tem zrobić i jak sobie postąpić?

Tu, zaciekawiona i zaniepokojona do najwyższego stopnia, znowu przerwałam dziaduniowi, pytając:

Ale iak to było? jakim sposobem ten... Gwido... mógł zabrać skarb klasztorny?

(Ciąg dalszy nastąpi).